

Tygodnik,

17. *Stycznia* — 3. — 1818.

KAŻDA RZECZ MA DWIE STRONY.

z *Kotzebue* (Kocebiu).

Pan Marcin, niegdyś Prezydent tutéjszego miasta, był człowiek zacny i pełen doświadczenia. Nie zwykł on był zaraz potępiać czynu, który z pozoru złym się wydawał; ale też nie był skory do pochwalenia tego,

co często wszyscy za najszlachetniéjsze uważali. Zawsze jednak skorszym był do pochwały niż do nagany. Trudno było go tak zmiękczyć, żeby przy pięknym jakim czynie z żywością obstawał, a gdy mu kto przypominał, że w młodości często w podobnych zdarzeniach większym unosił się zapałem, ze słodyczą zwykł był odpowiadać: „Moi przyjaciele! największym nieszczęściem starości jest doświadczenie. Może wam się to dziwnie wydaje, ale nie śmiéjcie się, póki nie doświadczycie. Dla czegóż w starości, przyjmujemy ozięble to nawet, co w młodych latach tak żywo zapała. — Na każde bowiem zdarzenie, spoglądamy, że tak powiem, przez drobnowidz doświadczenia: tym nieszczęsném narzędziem, obdarza nas starość; a wtedy podobni jesteśmy do Guliwera, który w podróżach swoich, dostał się przypadkiem wpośród niezmiernych olbrzymów, gdzie Księżniczka Pani jego, która między dziewicami Brobdygnagu za rzadką uchodziła piękność, w oczach jego zdawała się brzydkim potworem, a w jéj gładkiéj płci, widział tylko grube fałdy i głębokie doły. Obyśmy mogli całe życie bez doświadczenia przepędzać, kosztowalibyśmy w starości, tych lubych omamień, których słodyczą cieszyć nam się teraz nie wolno. Ale z drugiéj strony, przynosi nam wielką korzyść doświadczenie, uczemy się dobrze sądzić o ludziach, umiemy ich poznawać, a nieszczęśliwych i słabych, umiemy od zbrodniarzy rozróżnić."

Tak rozprawiał stary Prezydent, ale syn jego Paweł wcale innego był zdania. Był to młodzieniec prędki unosił się z zapałem równie przeciw złemu, jak za dobrém, a nigdy nie zadał sobie tyle pracy, aby i jedno i drugie z zastanowieniem rozważyć. Podług niego było to już cechą zimnéj, a nawet małéj duszy, kiedy kto piękny czyn jaki, nie dość żywo uczuł, albo przy podłym występku, przynajmniéj zębem nie zgrzytnął.

„To wybornie, bosko!" albo, to szkaradnie, podło!" takie to były wyroki młodego Pawła, które przy każdém zdarzeniu porywczo oświadczał. Nie znał tylko aniołów i czartów, a stary ojciec jego, na próżno mu tyle razy mawiał: „Nie masz między ludźmi ani aniołów ani czartów, a gdzie się ich namiętności nie wmięszają, tam wszyscy pospolicie są dobremi".

Nie ominął ten czuły ojciec żadnéj sposobności, ażeby syna przykładami przekonać, że każda rzecz, a mianowicie każdy czyn ludzki ma dwie strony, i że prawdziwą wartość kazdego czynu, z saméj tylko pobudki jego ocenić można. Często bardzo trudno, a często nawet, nie podobna było, prawdziwą odkryć pobudkę; ale trafiały się czasem takie zdarzenia, które jasnym téj prawdy były dowodem, a których rostropny Marcin umiał z korzyścią dla młodego Pawła użyć.

Był raz z synem u pewnego Fabrykanta, imieniem Piotra. Po objedzie wyszli goście na przechadz-

kę; tylko Prezydent z gospodarzem kurząc tytuń zostali przy stole, a Paweł oglądał piękne obrazy któremi ściany ozdobione były; gdy w tym oznajmiono Gospodarzowi, że jakaś Panna Justyna chce się z nim widzieć. Fabrykant kazał jéj powiedzieć: niech przyjdzie w wieczór. Ale gdy mimo tego rozkazu dziewczyna usilnie domagała się aby ją wpuszczono, Prezydent zdjęty ciekawością zapytał się, co by za jedna była ta Panna Justyna.

„Jest to uboga dziewczyna, która w mojéj fabryce pracuje: „odpowiedział gospodarz" Czemuż jéj więc Pan nie wpuścisz? zawołał Prezydent — niechże darmo nie traci czasu."

„A, i owszem, kiedy Pan pozwolisz niech wnijdzie."

Weszła więc młoda, piękna i skromna Justyna. W niewielkim koszu, niosła różnego rodzaju roboty. „Cóż to! czy znowu jaki towar? „zawołał fabrykant.

Justyna skłoniła się grzecznie, i wydobyła piękną swoją robotę. Piotr obejrzał z uwagą każdą sztukę, i wypytywał się o cenę, która zawsze zdała mu się zbyt wielką. Trapiło to biédną Justynę. Podług jéj obrachunku, wartość całego towaru, wynosiła talarów dwadzieścia; fabrykant podał tylko dziesięć. Ze łzami błagała, aby jéj nic nie odtrącał przynajmniéj tą razą, choćby też tylko z miłosierdzia.

„Wszakże Pan wiész - mówiła - że zaledwo wyżywić mogę zgrzybiałego ojca mojego.

Na te słowa dreszcz przeszedł młodego Pawła. Zroszonemi oczami spoglądał na Justynę. Fabrykant przecież z zimną krwią odpowiedział: „Wiem ja dobrze o tém, moje dziécię, ale w handlu zważać na to nie możem."

Rozjątrzony Paweł spoglądał raz po raz okiem pełnym pogardy na Fabrykanta, który zdawał się wcale tego nie postrzegać, i bez przestannie usiłował nowe w towarze Justyny wyszukiwać i wytykać wady. Na próżno biedna dziewczyna poruszającym głosem, skarżyła się przed nim, że w tym dniu właśnie opłacić musi komorne, którego od kwartału nie uiściła. Ośm wynosiło talarów, więc by jéj tylko dwa zostały, na wyżywienie niedołężnego ojca i dwóch biédnych sierot, przez tak długi przeciąg czasu, pókiby sobie nowego nie zarobiła wsparcia.

„To darmo, moje serce — zawołał Fabrykant. — Summa ta musi ci wystarczyć, bo krótko mówiąc, ja ci więcéj nie dam."

Umilkło dziewczę, złożyło z pokorą robotę na stole, ukrywając łzy które jéj z oczu płynęły. Nieporuszony Fabrykant wypłacił ozięble należną jéj summę, a potém spokojnie zapalił fajkę, która mu właśnie wygasła.

Korzystał z téy chwili Paweł, i dla dogodzenia przynajmniéj gniewowi swemu, dał poznać ojcu, ile go rozjątrzyło to postępowanie srogiego Fabrykanta. Uśmiéchnął się na to ojciec i ruszył ramionami.

Skoro tylko oddaliła się Justyna, Fabrykant wrócił z gościem do dawnéj rozmowy. Paweł tym czasem nieznacznie wymknął się, i wybiegł po cichu za Justyną, a dogoniwszy jéj, zawołał czułym głosem: „Piękna Dziewczyno! Pan Piotr wysłał mię do ciebie. Pomiarkował on, że tak dobréj córki, która własną pracą, żywi zgrzybiałego ojca, nienależało w ten sposób odprawiać. Oto dwa ludwiki, które ci jeszcze oddać roskazał" „Czy podobna? zawołała z radością Justyna — Oby mu to Bóg nagrodził. Pierwszy raz wzruszył go los mój biedny; wydzierał mi zawsze połowę, a często i więcéj z krwawego mego zarobku. Niech go Bóg błogosławi, i ciebie czuły młodzieńcze, którego oczy widzę łzami litości zalane."

Paweł oddalił się szybko, w tém miłém przekonaniu, że miłosierny wypełnił uczynek, a skoro tylko sam na sam znalazł się z ojcem, powstał natychmiast przeciw nieczułemu Fabrykantowi, i jak się domyśléć można, niezaniedbał go zapewne najzelżywszemi wyrazami uczcić."

„Zwolna, zwolna! — przerwał mu ojciec. — To prawda, że stary Piotr, zdawał się zbyt srogo z tą biedną dziewczyną postępować, ale ja nie chcę jeszcze źle o nim trzymać, ponieważ z innéj strony, znam go jako uczciwego i zacnego człowieka. Może miał słuszne do tego powody."

„Co! słuszne powody? — zawołał Paweł. — Nie, słusznych mieć nie mógł. Bo postępek podobny żadną

dobrą pobudką usprawiedliwionym być nigdy nie może."

Umilkł ojciec, bo w istocie nie miał nic do przytoczenia na obronę Fabrykanta, a Paweł chował w sercu wieczną dla niego nienawiść.

Półroku upłynęło, gdy Prezydent wraz z synem, znowu przez Piotra zaproszeni zostali na wesele, które tenże jednemu z wiernych swych czeladników wyprawiał. Ociągał się Paweł, i tylko dla przypodobania się ojcu, z posępną twarzą poszedł na tę ucztę, na którą sproszoną była znaczna liczba osób.

Wielka sala była wspaniałe wonnemi kwiatami upiękrzoną: sto świc jaśniało; postrojeni służący uwijali się w koło z kosztownem winem i cukrami. Drogie srebra i porcelany zdobiły, wykwintne stoły; wszędzie panował przepych i zbytek.

Zdumiony tym widokiem, pomyślał sobie Paweł: „Tak to postępują ci podli wydziercy, uciskają nędznych, a wydzierając im grosz ostatni krwawym zarobiony potem, gromadzą sobie majątki i zastawiają te pyszne stoły, oblane łzami tylu nieszęśliwych."

Już przybył oblubieniec przybrany w strój galowy; wszystko było w gotowości. — Postrojone panienki oddaliły się po Pannę młodą; ale jakież było zadziwienie Pawła, kiedy nagle postrzegł, że tą Panną młodą była Justyna. Fabrykant wyszedł na przeciw niéj, podał jéj rękę i oddał Oblubieńcowi. Z najżywszą radością porwała rękę Fabrykanta, przycisnęła ją

do serca, padła na kolana i wylała łzy radości. Wszyscy przytomni byli w zadumieniu. Justyna chciała kilka słów przemówić, ale jéj łzy nie pozwoliły. Podniósł ją wzruszony starzec, uściskał tkliwie, i słabą ze łzami w oczach zaprowadził Oblubieńcowi.

Paweł nic z tego wszystkiego pojąć nie mógł, ale z najżywszą ciekawością chciał się objaśnić w całéj téj okoliczności. Pobiegł do ojca i rzekł mu do ucha: „Nie potrafiłbyś ojcze, rozwiązać mi téj zagadki?"

„Nie, mój synu, odpowiedział Prezydent.— Piotr sam tylko rozwiązać ją potrafi; zapytam się go przy pierwszéj sposobności."

Skoro więc zwykła radość ominęła gości, i gdy już Piotr pierwszy taniec z panną młodą skończył, odprowadził go Prezydent na stronę. Paweł zbliżył się i słuchał z uwagą; a Prezydent w te słowa zapytał się Piotra.— „Miły przyjacielu! chciéj mię objaśnić, skąd to wszystko pochodzi? Przed kilko miesiącami byłem świadkiem, gdyś się z tą samą dziewczyną nie zbyt litościwie obszedł, dziś postępujesz z nią, tak jak z własném dziecięciem."

Stary Piotr uśmiéchnąwszy się, odpowiedział na to: „Bez wątpienia miałeś mię WPan na ówczas za bardzo srogiego, a przynajmniéj jak przypominam sobie, syn jego musiał bardzo źle o mnie trzymać, gdy w saméj rzeczy on w tym dniu, sam nierównie większe odemnie popełnił okrucieństwo."

„Ja?— odezwał się strwożony Paweł.

„Tak jest, mój młody przyjacielu — odpowiedział Piotr, i tak daléj mówił. Ze Justyna była rzadkich zalet dziewczyną, że pracą rąk własnych, żywiła niedołężnego ojca i dwie sieroty, o tym wiedziałem już dawno, ponieważ od pięciu lat, fabryka moja, najpiękniéjsze roboty, odbierała z rąk Justyny. Ale wiedziałem też i o tém, że jéj ojciec oddał się pijaństwu, rozpraszał to wszystko, cokolwiek ona tak gorzko zapracowała, a sama nie była w stanie, odmówić mu ostatniego grosza. Widziałem więc, że mimo najcięższéj pracy, nie będzie mogła na dal losu swego osłodzić. Starałem się przeto jéj piękne i szacowne roboty, bezcennie od niéj nabywać, niedając jéj nigdy więcéj, tylko tyle, iżby jedynie najcięższe potrzeby familji zaspokoić mogła. Nieraz przejęty byłem najsroższą boleścią, kiedy łzami zalana oddalała się odemnie. Po jéj odejściu zwoływałem biegłych znawców, oszacowaliśmy kupiony towar podług prawideł słuszności, a niedopłaconą jéj summę, która niekiedy połowę prawdziwej wartości towaru przechodziła; składałem osobno i byłem jéj podskarbim. Ta zrazu mała sumka, powiększała się zwolna. Z czasem mogłem już jéj użyć, na różne korzystne widoki handlowe, a tym sposobem w krótkim czasie, uzbierałem dla niéj tysiączek talarów, które rozrzutny ojciec, byłby niezawodnie przez garło przepędził. Lecz dzięki niebu, umarł już ten starzec, a syn WPana zadał mu cios ostatni."

„Kto? ja? — zawołał przelękniony Paweł.

Piotr tak daléj mówił: „W kilka dni po tém zdarzeniu, któregoście byli świadkami, przybiegła do mnie zadyszana Justyna, i oznajmiła mi śmierć ojca swojego. „Niestety! — zawołała z rozpaczą — nie byłam mu się w stanie oprzeć, a byłabym zapewne zachowała mu życie.” — „Jak to? moje dziecie!” zapytałem się. „Gdyś mi Pan ostatnią razą dał dziesięć talarów, oddaliłam się stroskana od niego, w tym wybiegł za mną jakiś młody Jegomość i przyniosł mi jeszcze dwa Ludwiki od Pana” — Odemnie? przerwałem jéj z zadziwieniem — „Tak jest, od Pana. Młody ten Pan oświadczył mi, że cię nędzny los mój zmiękczył. Przyjęłam ten jego dar z wdzięcznością, i uradowana pobiegłam pokazać mój skarb ojcu mojemu. Niemogłam odmówić prośbom jego. Dawno już niepił wina, które było całą jego roskoszą; krótko mówiąc, dałam mu połowę mego skarbu, bo mi przyrzekł, że mu to wystarczy na ćwierć roku. Niestety! od téj nieszczęsnéj chwili, już go prawie niewidziałam. Na próżno go ze łzami błagałam. Oddał się cały swéj namiętności; przez dwie nocy nie zajrzał do domu: starość niepotrafiła znieść takiego wysilenia: tchnięty apoplexją umarł.”

„Na te słowa, struchlał biédny Paweł.

„Zgadłem łatwo - mówił Piotr - skąd ten nieszczęsny dar pochodził. Widziałem bowiem nieukontentowanie na twarzy syna WPana, widziałem z jakim stąd gniewem odchodził. Niech to więc będzie dla niego

naukę, że aby komu dobrze zrobić, nie samego tylko serca, ale i rozumu poradzić się trzeba. Dobroczynność jest to klejnot drogi, w prawdzie z serca pochodzący, ale jeżeli udziałem jéj rozum nie powoduje, podobną jest do niewygładzonego kamienia, który przez to wiele na swéj wartości utraca."

„Pocieszałem Justynę, i w skrytości życzyłem jéj lepszego losu: a gdy przed kilko tygodniami, jeden z najlepszych moich czeladników oświadczył mi, że chce wnijść w związki małżeńskie, poradziłem mu, ażeby pojął Justynę za żonę, nie zaniedbałem mu wytknąć jéj zalet, a razem dodać, że nie jest bez posagu. Przyjął moją radę. Justyna nie mało zadziwioną była, gdy się o swym posagu dowiedziała. — „Dobre dziecie, — mówiłem do niéj — przeklinałaś mnie zapewne wtenczas, kiedym ja najlepiéj myślał o tobie. Błogosław mnie więc teraz, i kochaj jak własnego ojca" Tak też czyni czuła Justyna. Srogość moja, bez wątpienia kosztowała mię wiele, ale Bogu dzięki, hojnie za to wynagrodziły mię nieba."

Rozczulony Paweł, chciał ucałować ręce Piotra który go tkliwie uściskał. Prezydent cieszył się w duchu z rozwiązania całego tego wypadku i spodziéwał się, że Paweł odtąd lepiéj będzie umiał o ludziach sądzić, ale ta nadzieja często go jeszcze zawiodła.

(Dalszy ciąg w następującym Numerze).

WYJĄTKI Z CYDA,

Trajedji Kornela.

Nowo przekładanéj przez Ludwika Osińskiego.

AKT II.

Scena 7.

Król, Argas, Xymena, Dyego, Alonzo.

XYMENA.

Ach Królu!

DYEGO.

Racz wysłuchać.

XYMENA.

Zbrodnia pomsty woła.

Przy twoich nogach Królu ....

DYEGO.

Z nachyleniem czoła....

XYMENA.

Tyś praw mścicielem.

DYEGO.

W tobie niewinnych obrona.

XYMENA.

Pomścij się śmierci...

DYEGO.

Którą zuchwałość skrócona.

XYMEMA.

Rodryg, Królu . . .

DYEGO.

Wykonał czyn męża dzielnego.

XYMENA.

Ojca mojego zabił.

DYEGO.

A pomścił się swego.

XYMENA.

Mścić się za krew poddanych powinna twa ręka.

DYEGO.

Zemsta tak sprawiedliwa kary się nie lęka.

KRÓL.

Ach! Xymeno! . . Dyego.... powstańcie oboje:
(do Xymeny)
Czuję bolesną stratę i cierpienia twoje.

XYMENA

Ojciec mój zginął! jeszcze widzą moje oczy,
Jak sie z rycerskich piersi szlachetna krew toczy...
Ta krew, co twierdzom twoim dawała obronę,
Co zwycięstwa na twoją nakłaniała stronę,
Płynie teraz... niestety! nie w kraju potrzebie,
Nie za lubą ojczyznę, Królu, nie za ciebie.
Krew, ktorą w tylu bitwach wojna oszczędzała,
Na twoim dworze reka wytacza zuchwała,
I w pierwszém doświadczeniu sprosnego bezprawia
Z tak poteżnéj podpory cały kraj pozbawia,
Obala zaufanie najlepszych żołnierzy,
W nieprzyjaciołach meztwo i nadzieje szerzy...,
Pobiegłam na plac bitwy, bezsilna, zbłąkana,
Ach! już nie żył, już była zbrodnia dokonana.
Daruj Królu, nieskończę okrutnéj powieści....
Niech ci resztę powiedzą, te łzy, te boleści.

KRÓL.

Xymeno! okaż wyższą twego serca stałość,
We mnie masz Ojca; córko, uspokòj twą żałość.

XYMENA.

Królu, nieszczęście zbytek łaski mi zjednało.
Przybiegłam, ale martwe zastałam już ciało,
Nie żył już, nie przemówił; potężniéjsza siła
Krwią mi jego na piasku powinność kryśliła.
Lub raczéj głos tajemny z rany się dobywał,
I silniéj niż słowami pomsty mojéj wzywał.
Gdzie ty Królu panujesz, będąż tam swobodnie
Przed twoim Majestatem tryumfować zbrodnie?
Nie. Tyś jest sprawiedliwym; święta praw powaga,
Głos bohatéra z grobu nieprózno cię błaga.
Niedozwolisz, ażeby pod rządy twojemi,
Zabijano najpiérwszych obrońców téj ziemi,
Żeby się młody zbrodzień na wszystko ośmielał...
Może chlubił bezkarnie ze krwi którą przelał.
Zginął wódz, piérwszy w twoich wojowników rzędzie:
Jeżeli się nie pomścisz, kto ci służyć będzie?
Wreście ja Ojca mego, kraj obrońcę traci:
Nagrodź to równą śmiercią, niech się krew krwią płaci;
Znieś ten ród nienawistny! tego twoja chwała,
Tego lud żąda, tego Kastylija cała.
Gdzie błask słońca dochodzi, cóż znajdziesz godnego
Na okup krwi tak drogiéj?

KRÓL.

Przebóg! cóż? Dyego...

DYEGO.

O jak szcześliwy! komu nieba dozwoliły,
Sławy swojéj nie przeżyć. . . nie przeżyć swéj siły.
Królu! starość jest krzywdą mężnego człowieka,
Jeżeli sił utrata przed grobem go czeka.
Ja, com na polu chwały, długi wiek przepędził,
Com dla kraju, dla ciebie, trudów, krwi nie szczędził,
Dziś do mojéj zniewagi to jedno wystarcza,
Że mię większa niż innych liczba lat obarcza.
Czego nie mógł dokazać Arragon z Grenadą,
Twoi nieprzyjaciele i siłą i zdradą,
Ci nawet, którzy mojéj zazdrościli sławie. . .
Jeden dumny wykonał w twoich oczach prawie!
Wydarł, co długoletnie zasługi przyznały,
Moją słabością silny, moim wiekiem śmiały!
Panie! te pod szyszakiem ubielone włosy,
Pierś, co tobie grożące przyjmowała ciosy,
Reszta krwi ... poświęconéj Ojczyznie i tobie ...
Z całym ciężarem hańby miały polec w grobie:
Gdyby nie syn ... od sławy przodków nie odrodny,
Godny ojczyzny swojéj, swego Króla godny...
On mi ręki pożyczył, on dumę ukrócił...
On na skroń znieważoną dawne laury wrócił.
Jeżeli prawo, pomstę obrażonéj czci,
Między godnemi kary przestępstwami mieści...
Cała surowość jego niechaj na mnie spada!
Wszakże za zbrodnie ręki głowa odpowiada.
Téj tylko pomsty żądać wolno jest Xymenie,
Jeśli chce zaspokoić ojca swego cienie,
Jeśli krwią uczcić trzeba Hrabiego mogiłę . . .
Rodryg by go nie zabił, gdybym ja miał siłę.

Kilka może dni starca od grobu przedziela:
Tę głowę ukarz Królu! . . . a ocal mściciela,
Nie odrzucę wyroku niesłusznym oporem,
Umrę... z radością nawet... bo umrę z honorem.

AKT III.

Scena 3cia

Xymena, Elwira.

XYMENA.

Przecież już jestem wolna, nic mię nie przymusza;
Dawno téj chwili moja upragnęła dusza:
Mogę do woli płakać i złorzeczyć losom.
Któreż serce wystarczy tylu razem ciosom!
Niemam Ojca, Elwiro, ... Rodryga to dzieło!
Ramie jego, niestety! od téj krwi zaczeło...
O niechaj żadna siła mych łez nie ociera!
Połowa życia mego, drugą mi wydziera:
I srogi wyrok każe, abym pomstę brała,
Za tę, któréj już niémam, z téj co mi została.

ELWIRA.

Ach uspokój twój umysł.

XYMENA.

Spoczynek! o Boże!
To udręczone serce, gdzież go znaleść może?
Kiedyż? kiedy kres mego cierpienia obaczę...
Gdy nie samego ojca nieszczęśliwa płaczę.

Gdy

Gdy ten umysł sam sobie nowe męki stwarza,
Kiedy i zbrodnię ścigam ... i kocham zbrodniarza.

E l w i r a.

Ty go kochasz?

X y m e n a.

To mało; ubóstwiam Rodryga.
Tak straszne przeznaczenie bez przerwy mnie ściga,
Że chociaż się występnym, sama sobą brzydzę,
Choć mu złorzeczę - przecież kochanka w nim widzę...
Pomimo zemstę, czuję jako w sercu mojem
Rodryg z Ojcem raz jeszcze, krwawym walczą bojem.
Walczy mówię... i na co zadrżysz nieszczęśliwa...
Jeszcze on go niekiedy i tu pokonywa..

Lecz sie nie trwòrz; w tym sporze zemsty i miłości,
Czuję całą przewagę mojéj powinności,
Ma jeszcze honor swoją nad tém sercem władzę,
Tego świętego czucia występna nie zdradzę,
I chociaż miłość walczy... pròżna jej przewaga,
Jestem còrką, cień ojca zemsty się domaga.

E l w i r a.

Chcesz więc śmierci kochanka?

X y m e n a.

O myśli okrutna!
Tak każe przeznaczenie i powinność smutna:
Chcę zemsty, i wstręt do niéj w sercu mojém kryję,
Pragnę téj śmierci... któréj sama nie przeżyję.

E l w i r a.

Oddal ten straszny obraz: jakaż to myśl krwawa?
Także okropne sobie przepisujesz prawa?

Xymena.

Elwiro! córka śmierci ojcowskiéj przytomna,
Còrka na głos natury, na swój wstyd niepomna,
Na któréj ręku skonał ten wzòr ludzi meżnych...
Nic mu poświęcić nieśmie, prócz łez niedołężnych,
Pròcz téj walki, co w sercu występném się mieści,
I hańbę do bezsilnych przydaje boleści.

Elwira.

Hańbę! tak niesłużnego nie lękaj się zdania,
Ktoż nie dzieli twych cierpień? kto nie znał kochania?
Los Rodryga oddałaś twojemu Królowi,
Przestań na tém. Niech prawo za ciebie stanowi
Jakaż dzika zawziętość zapala twą duszę?

Xymena.

O moją chwałę idzie, utrzymać ją muszę.

Elwira.

Ale kochasz Rodryga, niechętnie go winisz.

Xymena

Wyznaję.

Elwira.

J cóż tedy, còż wreście uczynisz?

Xymena.

I cierpień się pozbędziem, i sławę ochronim.
Chcę go ścigać, chcę zgubić, - sama umrzeć po nim.

SZLICHTADA.

Kiedy wszystkim wolno szaleć? czyliż mnie nie wolno? Od czegóż byłby karnawał! Nie jestem ja po-

nurym mędrkiem ani pustelnikiem, abym tylko w cudzych szpargałach szukał dla siebie zabawy; nie jestem wyjątkiem z powszechnego prawidła; tak jak drugich i mnie po wszystkich miejscach będzie pełno; będę na wszystko patrzał, wszystkiém się bawił, wszystko wychwalał!... Panie Arystarchu, co to z kąta wyglądasz, i na paluszkach, szósty mi już krzyżyk rachujesz, poprzestań szyderskiéj mimiki. Broń ucinków jest za słaba na puklerz z 50 lat utkany. Lat 50 jest wiekiem dojrzałym, wiekiem doświadczenia, ale nie jest starością. Nie jestem przeto stary, i żeby tego dowieść, dziś jeszcze będę na szlichtadzie.

Obiecałem się Pani M. Jest to przyjaźń od dzieciństwa; dla takich przyjaźni niemasz wymówek. Pani M jest to kobieta żywa i w całém znaczeniu tego wyrazu Pani, bo mąż jéj człowiek powolny dla rządzenia w domu postanowił zawsze i we wszyskim zgadzać się z wolą kochanéj małżonki. Powiadają ludzie żem się urodził 1766 a Pani M w kilka lat po mnie. Przecież Pani M jest młodą. Wprawdzie młodość kobiet prędzéj się kończy od naszéj; jednak i one umieją dać sobie radę. Mężczyzna przyzna, że ma lat 30, ale zwierzchnim tonem śmie jeszcze utrzymywać że młody. Kobiécie po 29 latach, rzadko kiedy roczek przybędzie, lecz ona doda z westchnieniem, że 29 lat, jest już późnym wiekiem. I niechże się znajdzie okrutny, coby niezmiękczony takiém wyznaniem, nie podjął się zaraz dowodzić, że lat 29 jest kwiatem, jest

pęczkiem życia. Nie, nie znajdzie się taki, choćby go i Surrogata młodości uwieść nie były w stanie, choćby i w jakim nieostrożnym zapale, rumieniec zostawiony na którym rękawie, odkrył mu niezaprzeczoną metrykę. — Stąd padło na nas nieszczęście, że wszyscy prawie młodo umierają. Nie wiem, czy ta młodość fizyczna pociąga za sobą moralną; nad tém niech się zastanawiają Filozofowie; mnie czeka szlichtada.

Dzień był najpogodniéjszy. Troje sanek powożonych przez stangretów, którzy dla utrzymania się przy swoim chlebie, brody zapuścić musieli, zabrało całe nasze Towarzystwo. Pan M niechciał należećdo podróży, odradzał ją nawet i przepowiadał zmianę powietrza. Jego wyrocznie nazwano wyroczniami kalendarza, a my ruszyliśmy w najlepszym humorze.

Mnie przypadło jechać z Panią M. Konie ledwie dotykały się ziemi. Lekko ślizgały się sanki i równo z wiatrem nas niosły; niebyło czasu obéjrzeć się za siebie. Tak nie jeden krytyk nie dotknie niczego, lekko prześliźnie się po wszystkim, i nie obejrzy się nawet, na to co pisał.

Nie wiedziałem dokąd mię wiozą. Miało to być dla mnie tajemnicą, którą dopiéro na miejscu odkryć przyobiecano; ale żądać od kobiéty zachowania sekretu przez godzin dwie, byłoby to wyciągać zbyt wiele od płci piękněj.

Dowiedziałem się więc, iż jedziemy do Pani W. która żyła prawdziwie na wsi, rzadko odwiedzała War-

szawę i umiała odeprzeć pokusę, jako wznieca bliskość stolicy. Dowiedziałem się, iż to była przyjaciółka Pani M, ale przyjaciółka podług mody, którą bardzo mało znała, więcéj uściskała, a więcéj jeszcze ogadała. Przez całą drogę miała Pani M coś o niéj mówić. Zadnego nie darowała mi szczegółu; chód, głos, postać, nic nie było zapomniane; tak, iż ja co dopiéro za przyjazdem nowe miałem widzieć przedmioty, jechałem do Pani W, jak do staréj znajomości.

Mieliśmy ją z nienacka najechać. Uśmialiśmy się do woli, z ambarasu jaki tam sprawiemy i gotowaliśmy się do nowych żartów, które miały być dowcipnemi, i tak szafowaliśmy śmiéchem, iż już miałem jakieś przeczucie, że go nam na powrót nie wystarczy. Tym czasem zaczęło brać na mróz. Wyglądaliśmy niecierpliwie celu podróży. Szczęściem pokazała się wioseczka. Wesoło wjechaliśmy w bramę, ja wierny roli młodego, wyskoczyłem z sanek, aby podać rękę mojéj damie; i aprobujące wejrzenie dostałem w nagrodę.

„Niémasz państwa" tak powitała nas dość niepoczesna figurka, która na przeciwko nas wyszła. Na te słowa stanąłem jak wryty. Pani M przygryzła wargi. „Zawracaj - zawołała z udaną obojętnością. — Nie mogła jéj przecię zupełnie udać. Wspomnienie żartu i śmiéchu równe na niéj czyniło wrażenie, jak na wodzu pokonanym, wspomnienie pieśni zwycięskich, które przed bitwą obstalował. Spełniły się moje przeczucia.

Coraz bardziéj zaczęło się ściemniać. Powstała zawierucha; wiatr mroźny wskroś nas przejmował, a co najgorzéj zasypał drogę. Musieliśmy z niéj zboczyć, sanki zaczęły się przechylać; znowu musiałem wyskoczyć, aby je zatrzymać, lecz pomimo największego pośpiechu, zamiast aprobującego spojrzenia, ściągałem tylko na siebie bury o opieszałość.

Zaczęliśmy błądzić. Pani M o to chodziło jedynie aby mąż nad nią nie tryumfował. Złém jedném zbywa się złe drugie. Ta bojaźń odwróciła Panią M, od obecnego niebezpieczeństwa, które jéj prawdziwie groziło.

Stanęliśmy przed domem Pani M. Przed wnijściem musielimy dać słowo, żeśmy się jak najlepiéj ubawili. Pan M. przyjął nas z grzecznością, która trochę na żartowanie zakrawała. Godna jego małżonka grała doskonale swoją rolę. Ale niewiem, czy dla tego, że kwaśną minę przestrajać nie najlepiéj każdy potrafi, czyli że sekret między siedmią osobami, żachować się nie może; bądź jak chce, wydało się wszystko. Pan M dał poznać, iż złe stąd poszło, że go nie słuchano, i miał racją. Pani M niechciała, ażeby Pan M miał racją. Mąż doświadczeniem nauczony, jak ma postępować, lubo zwycięzca wyszedł z tego sporu, tak jak gdyby był zwyciężony.

Bywalski.

TEATR NARODOWY.

Nowe Krakowiaki. Całość téj Opery, wiele ustępuje dawnym Krakowiakom. Są w niéj jednak miejsca piękne i prawdziwie narodowe, które liczną ściągają publiczność. Operę tę utrzymuje najbardziéj muzyka Pana Kurpińskiego. Jak rozmaity w dziełach swoich jest nasz kompozytor! jak każdéj rzeczy umié nadać właściwość! W Szarlatanie lekki i żartobliwy; w Lucyperze groźny; w Jadwidze poważny i wyniosły; w Nowych Krakowiakach, czuły wesoły i prosty. W tańcach i chorach, pełno wdzięku i życia, wszędzie się narodowość przebija.

Axur. Ile wykonanie Opery w podróży najprzyjemniéjsze miłośnikom muzyki sprawiło uczucie, równie z żalem wyznać przychodzi, że wykonanie Opery Axur mniéj było dokładne, lubo od tylu lat powtarzane.

Zapewne tęgość mrozu musiała mieć wpływ na głos śpiewających, ale nierozumiemy, czemu i na instrumentach tenże sam skutek spostrzegać się dawał.

Oziębłość Axura dla Aspazji, nie odpowiada zadziwieniu nad jéj pięknością. Przecież pomnieć należy, że na wschodzie męszczyzni większy dla kobiét okazują zapał; niemi rządzi namiętność, nami grzeczność.

Essex.— Piérwszy raz w Essexie, w jednéj z piérwszych rol, widzieliśmy występującą Pannę Nacewiczównę. W téj trajedji pokazała nam grą swoją, że wychodzi z mierności. Powszechne oklaski malujące ukontentowanie publiczności, będą zapewne zachętą młodéj aktorce, do wywiązania się z nadziei, którą w niéj położono. Co do przekładu téj Trajedji, życzylibyśmy cokolwiek więcéj poprawności. Są w niém niektóre niestosowne i gminne wyrazy.

Familja Szwajcarska. (*Veigla*) ze wszystkich niemieckich płodów, w téj jednéj najmniéj jest sztuki, na któréj się zwykle niemieckie Opery zasadzają. Zbliżona do natury, równie jest ujmującą jak Hilary, lecz więcéj ma od niéj prostoty. Słusznie możemy się szczycić posiadaniem Zdanowicza, który w roli Gawełka jest nieporównany.

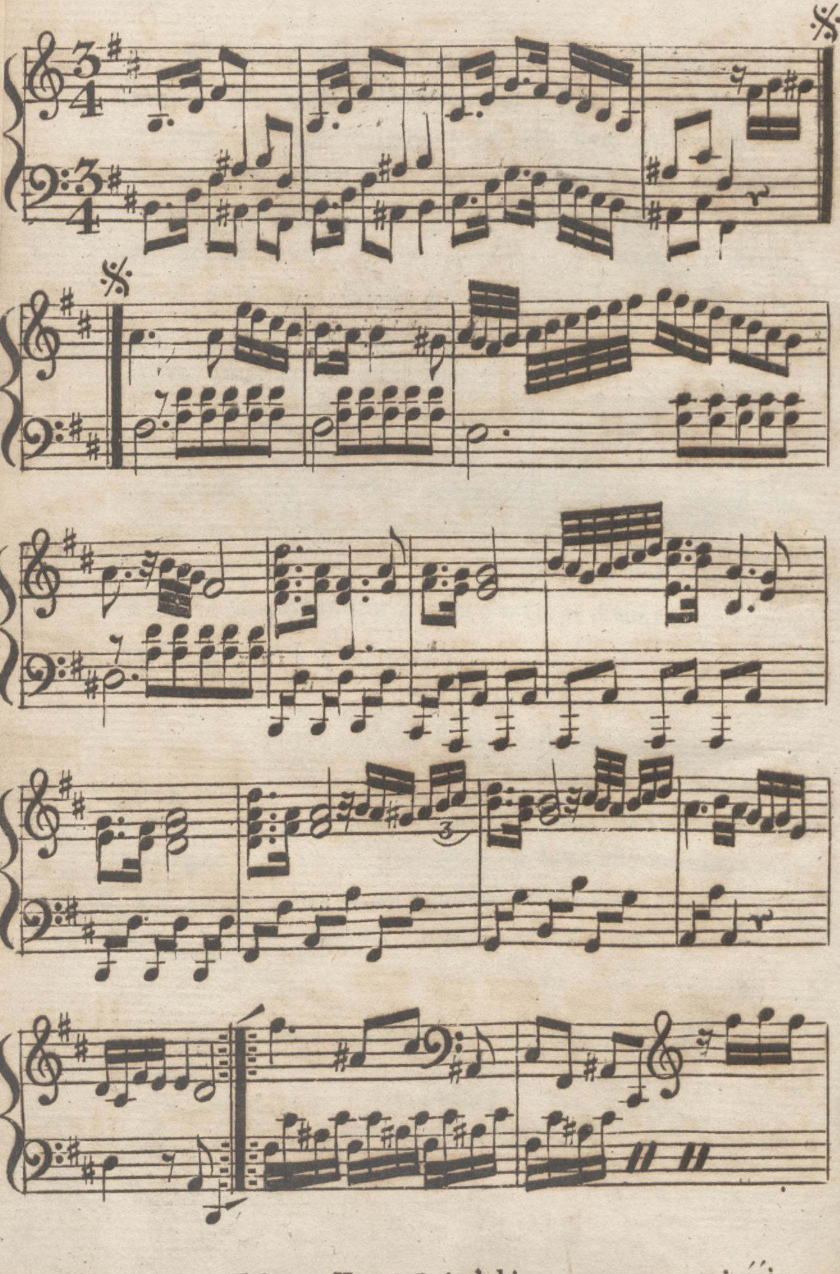
SZARADA.

Pierwszéj strzeż się na wodzie, gdy się ma ku wiośnie,
Drugie z trzecim pomaga chmielowi gdy rośnie,
A wszystko użytecznym natenczas się staje,
Jeśli uczy, a nie łaje.

D.......

Zagadka w przeszłym numerze umieszczona jest z litery K.

Taniec Polski.



W [illegible] Fabryce X. J. J. Cybulskiego na nowem mieście

przez **I. Ł.......**

